

# Tajna historia przedmiotów

**Jerzy S. Wasilewski**

Leżą przede mną trzy krążki. Dwa pierwsze to stare monety, szerniałe, poszczerbione, wytarte. Obie przywiozłem dawno temu z Mongolii, a chociaż spotkały się dopiero na moim biurku, to związane są ze sobą w szczególny sposób.

## Pierwszy krążek wtajemniczenia

Ta miedziana moneta pochodzi z niedzielnego ułan-batorskiego bazaru. Co tydzień na ogromnym zakurzonym placu na zachodnich peryferiach miasta, niedaleko nowego cmentarza (było to już po przeprowadzce bazaru z malowniczej oazy wśród ostatnich chińskich domków, u stóp klasztornej wzgórza Gandan) pojawiał się tłum sprzedających, kupujących i oglądających najróżniejsze rupiecie. Spora ich część robiła wrażenie, jakby przez sześć dni tygodnia poniewierały się gdzieś po ulicach, a na siódmy, nie wiedzieć po co, awansowały do roli przedmiotów handlu. Toteż z reguły szybko przechodziłem przez tę część targowiska, kierując się ku małemu obszarowi, gdzie handlowano rzeczami lepszej klasy. W zaciszu wysokiego ogrodzenia z desek zasiadali i przechadzali się poważni starsi panowie, już nie w wyszmelcowanych – jak reszta klienteli – marynarkach, ale w odświętnych mongolskich strojach i tłoczącym się wokół nich osobnikom z pospólstwa pokazywali – lub nie, zależnie od wyników oceny takiego ciekawskiego – to co chowali w zanadrzu: jakąś resztkę dawnej srebrnej biżuterii z koralami i turkusami, tabakierkę z agatu lub porcelany, malowaną na płótnie lamajską ikonę lub okaz najrzadszy – mosiężnego burchana.

Nie da się dziś przekazać atmosfery nielegalności, w jakiej odbywały się te łowy. W Mongolii wczesnych lat 70-tych, państwie w stolicy którego nie przypadkiem stał najspokojniej pomnik Stalina, posiadanie i afiszowanie się przedmiotami sakralnymi, z obszaru niedawno zgniecionej religii lamajskiej nie było całkowicie bezpieczne ani dla sprzedających, ani też dla kupujących (byli nimi głównie cudzoziemcy, myślący oczywiście o wywozie – a w takim przypadku przedmiot religijny stawał się dla władzy cennym obiektem kultury). Takie przedmioty jak tabakierki mogły

być pokazywane śmieiej, i wtedy ujawniało się tłumione na codzień przywiązanie do likwidowanych i odchodzących form kultury narodowej, w której częstowanie się tabaką na powitanie było ceremonią najpowszechniejszą. Dochodziło zatem do zbiorowego oglądania jakiejś cenniejszej sztuki w ściśniętym wianuszk. Gdy po południu na placu przerzedzało się, starszyskowie-znawcy przysiadali rzędem pod parkanem i paląc długie fajki podawali sobie wzajemnie te naprawdę najcenniejsze tabakierki – własne, niekoniecznie na sprzedaż. Palcami wskazywali sobie detale, debatując szczegółowo o tym, jaki wpływ na cenę ma wzór stworzony przez słoje kamienia, sposób oprawy koralowej główki albo zatopiony w ściankach bursztynowej flaszeczki owad. Jubilerstwo biedaków – myślałem.

Tamtego dnia pociągnęło mnie jednak w tę gorszą stronę bazaru, właśnie do najpospolitszej starzyzny i drobnicy, rozrzuconej kupkami na gazetach, wprost na ziemi. Nie wiem dlaczego spośród dziesiątków takich stert wybrałem tę właśnie skrzynkę, a w niej, spod warstwy tych samych co wszędzie zardzewiałych śrubek i spalonych świec motocyklowych, wygrzebałem ten krążek. Pamiętam, że jeszcze kilka lat później umiałem sobie przypomnieć uczucie owego magnetycznego przyciągania, które mnie tam wiodło. Dziś nie jestem pewien, czy nie była to zwykła bazarowa gorączka poszukiwacza, pociąg do przepatrzenia wszystkiego. Może jednak emanowało stamtąd coś, co kazało mi trafić wreszcie na tę nieczytelną, pokrytą brudem monetę.

Na jednej stronie carski dwugłowy orzeł, z berłem i jabłkiem w szponach. Po drugiej, wbrew spodziewaniu, wcale nie profil brodatego Mikołaja II. Spod zeskrobanego paznokciem brudu wyłania się data w środku: 1863-1864 i napis cyrylicą dokoła: „Za usmirenije pol'skago miateža” (za stłumienie polskiego buntu).

A więc to nie moneta, to medal za tłumienie powstania styczniowego! Pamiętam, że wspominał o nim Żeromski w *Szyfowych pracach*. Znaleziony na centralno-azjatyckim targowisku musi oczywiście wywołać rozemocjonowanie, zdziwienie – szczęściem, przypadkiem, związkiem ponad odległościami. Mało który umysł nie zareagowałby ożywieniem na taką koincydencję i na taki obciążony znaczeniami przedmiot. Natychmiast pojawiają się spekulacje, jak mógł on trafić do Mongolii. Sam przedmiot podpowiada taki oto epizod: skoro brak mu uszka do zawieszania – widać u góry, że zostało ono odłamane, a miejsce było jak zaklepane – to pewnie dlatego, że ktoś próbował puścić go kiedyś jako monetę. Gdzieś w jakimś zajeździe na kiachtyńskim trakcie, eskortu-



jący kupców w drodze do Urgi esauł zabajkalskich kozaków niby to niedbale rzuca na mokry błat szynkwasu garść miedzaków...

A wcześniej, polskie etapy tej drogi? Kto i za jakich czyn bohaterki został nim odznaczony? Za odwagę, za spryt czy za podłość? Może dostał go „za chrabrost” junkier Zubow, Czerkies wprawdzie tylko półkwi, ale i tak niesłychanej odwagi i zapamiętałości dzygit, który po wygranej politycznej gdzieś na drogach północnego Mazowsza z jakąś powstańczą partią, zapędził jej trzech dowódców-młokosów do dworu. Ci ukryli się w panińskim pokoiku na górze, Zubow wpadł tam z kozakiem, huknęła salwa, wszystkie trzy kule utkwily w futrynie, a oni roznieśli na szaszkach nietęgich strzelców...

A może dostał go za wojenną przemysłowość esauł Dukmanow, weteran kampanii krymskiej, zaprawiony w starciach na Kaukazie, który w augustowskiej guberni nie tylko fortem obronił prowadzone furgony z amunicją, ale złapawszy języka nahajkami wydobyl od niego wiadomość, którą ciągną buntownicy. Dukmanow najpierw nie rozumiał co tamten plecie o wybieraniu kozuszków, aż wreszcie pojął, że padają nazwy wsi, gdzie będą pobierać powstańczą kontrybucję w odzieży. Zasadzka skończyła się krwawą jatką. Dużo później zarówno Zubowa jak i Dukmanowa przeniesiono na Zabajkale w ramach ustawicznych wszechimperialnych translokacji.

Ale przecież za odwagę wojenną dekorowano raczej krzyżem św. Andrzeja. Tym medalem wynagradzano pewnie inne zasługi: wierność miłościwie panującemu, współpracę z prawowitą władzą, gorliwość w zaprowadzaniu nowych porządków. Może dostał go wójt Kraško z Kowieńszczyzny, któremu dano do wyboru: albo spalenie wioski i zesłanie wszystkich mieszkańców gdzieś pod turkiestańską granicę albo zorganizowanie murawiewowskiej straży wiejskiej, denuncjowanie agitatorów i pomoc w wyłapywaniu błąkających się po lasach niedobitków. To on, z medalem przyznanym za to, że nawet obywatelstwo potrafił zmusić do podpisywania wierноподдаńczych adresów, a pewnie też za schwytanie kogoś znaczniejszego, powieszzonego potem w Wilnie, wyjechał później na dobrowolną emigrację w stepy nad Bajkał, gdzie ziemi pozwalano brać do woli. Dlaczegoś nie chciał do kongresowiackiej Wierszyny, wołał osiąść jeszcze dalej, aż pod chiński kordon.

Dlaczego przychodzą mi do głowy wszystkie te scenariuszowe epizody? Czy w akademickim studium artefaktu byłoby miejsce dla takich wymyślonych obrazów, które zresztą niejednym przedmiotem może z łatwością wywołać? Wszystkie te dzieje jednego pocisku, historie jakiejś żółtej ciżemki, losy tapczanu pewnego gestapowca i niezliczonych innych przedmiotów – czy nie lepiej zostawić je jako materiał do konstrukcji literackich? Przecież nie zadowala mnie w nauce sama tylko idiografia, nudzi nanizywanie fakcików na jedną co najwyżej nitkę – chronologii, bez rekonstruowania szerszych, bardziej abstrakcyjnych wzorów – układów i relacji, modelowych powiązań i systemowych zależności.

Ale etnografia musi być też realistyczna – inaczej nie będzie w ogóle etnografią. Chociaż w swoich własnych wcześniejszych badaniach traktowałem przedmiot prawie wyłącznie jako reprezentację jakiegoś systemu myślowego (ujmując rzecz jako tekst, jako nośnik symboliki, korelat wierzeń i wyobrażeń, utwalony zapis systemu intelektualnego lub społecznego) to przecież w pełniejszym oglądzie nie zamierzam poprzestawać na jego systemowym, synchronicznym wymiarze. Niech nie zabraknie w nim nitki diachronii, i to w takim ujęciu, by nie wypadły z pola uwagi konkretne jednostkowe losy rzeczy, a tym samym ludzi, przez ręce których przeszły, w których genealogie się wplotły.

Miejscem, gdzie szczególnie mi brak takiej informacji jest muzeum etnograficzne. W tej zbiornicy rzeczy słabo wypadają wszelkie pozamaterialne zaplecze artefaktu, jego kontekst czy tło. A już to co niepowtarzalne jest świadomie i programowo pominięte. Oglądając rzecz nie dowiemy się niczego o jej jednostkowym losie, o tym co się z nią działo i czym była dla wszystkich, którzy mieli ją w ręku – od wytwórcy aż do zbieracza-kolekcjonera, który ją z jej własnych kontekstów wyluskał i do swego wstawił, przydając jej nowych znaczeń i obdarzając innymi emocjami. Pokażcie mi koleje losu konkretnego dzieła ludzkiej ręki zanim trafiło na wystawę i zostało zamrożone pod szkłem jako eksponat.<sup>1</sup> Takich informacji nie wstydzą się podawać jedynie w małym regionalnym muzeum czy izbie pamięci. A jeśli i tam przewodnik tego nie odłoni – pozostaje własna domyślność i wyobraźnia.

Trzeba uruchomić w sobie „hermeneutykę rzeczy”, otworzyć się na mowę przedmiotu. Wcale nie trzeba do tego być kolekcjonerem, acz skądinąd posiadanie ułatwi otwarcie, zwłaszcza jeśli staje się to w szczególnych okolicznościach. Przedmiot ma w sobie moc. Trzeba tylko stanąć na jego drodze, a on zmusi nas do wysłuchania swojej historii. I wtedy inaczej patrzemy na inne przedmioty. Pora przyjrzeć się drugiej monecie.

## Wtajemniczenia krążek drugi

To już prawdziwy pieniążek. Mosiężny, z chińskimi i ujgurskimi znakami wokół kwadratowego otworu pośrodku – przez taki otworek nawlekano monety na sznury do tezauryzacji, wplataną w warkocze, przyszywano jako ozdobę stroju. Jak wszystkie zdezaktualizowane monety mógł służyć różnym celom praktycznym – np. jako zakończenie sznura, przewiązującego lamajską księgę. Po przymocowaniu (do jednej lub kilku złączonych takich monet) kawałka owczej



sierści, powstawał swoisty pompon z obciążnikiem. Używano go do gry „tebek”, polegającej na wielokrotnym, jak najdłuższym podbijaniu go nogą, podobnie jak na warszawskich podwórkach i boiskach grywa się „w zośkę”.

Pamiętam, że gdy sam w nią grywałem, intrygowała mnie ta nazwa. Nie ma ona przecież nic wspólnego z zasadami gry, nie tłumaczy się jej techniką, nie wiadomo kim była tajemnicza kobieta, która użyczyła jej swego imienia. Czytałem gdzieś, że taką grę znano już w starożytnym Rzymie – wspomina o niej bodaj któryś z Pliniuszy. Może więc stamtąd? No ale przecież nie było łacińskiego odpowiednika greckiego imienia Sophia (gdyby to ono miało być ewentualnym źródłosłowem swojskiej Zośki). Pochodzenie nazwy – jak i samej gry – zostawało więc dla mnie zagadką – aż do zeknięcia się z jej mongolskim odpowiednikiem.

Na taki „miedziak” mówi się po mongolsku „dzos”, (co słownikowo znaczy „miedź”). Skądinąd w wymowie buriackiej brzmiałoby to „zos”, ale nawet gdybym o tym wcześniej pomyślał, to nie przyszłoby mi do głowy skojarzenie – na przekór tysiącom kilometrów dzielących te formy geograficznie i lingwistycznie – buriackiego „zos” ze swojską „zośką”. Ale oto natrafiam na informację, która niezwykle uprawdopodobnia ten związek.

Oto Grigorij Nikołajewicz Potanin wspomina (a dotyczy to lat około połowy XIX wieku) że kadeci szkoły wojskowej w zachodniosyberyjskim Omsku grywali w grę „zoska”.<sup>2</sup> Eureka! Skoro „zoska” notowana jest na Syberii pod tą nazwą, nic przecież po rosyjsku nie znacząca (nie notuje jej żaden ze słowników, a tym bardziej nie ma w rosyjskim takiego imienia), to znaczy że zapożyczono ją od Buriatów (co sugeruje zresztą autor, rozwiewając tym nasze obawy, że z Buriacji do Omska jeszcze daleka droga). A że nazwa buriacka nie brzmiała po rosyjsku naturalnie, więc dodano końcówkę, która ułatwia deklinację, uzupełniając ją do formy „zoska”.

A więc swojska „zośka” to pierwotnie mongolski i buriacki „miedziak”, za pośrednictwem formy rosyjskiej, asemantycznej. Już wiem, kto przyniósł ją do Polski: mówiąc metaforycznie, ci sami absolwenci omskich i irkuckich szkół wojskowych, kiedy ich stamtąd wysłano do „usmirenia pol’skiego miateża”, a którzy potem wracali z medalami. Znamy już ten szlak – ktoś kto dopiero co odnalazł w tamtej części świata pierwszy miedziak – materialny dowód kontaktu między stepem a Mazowszem, natychmiast nabiera przekonania, że i drugi krążek pokonał tę samą drogę, w tym samym czasie wędrując z tymi samymi ludźmi. Przedmiot materialny – rzecz jak najbardziej namacalna – wystarczy jako dowód prawdziwości takiej hipotetycznej rekonstrukcji.

Nie ma dla badacza większej radości niż wtedy, gdy zdarzenie, które wydarzyło się mu osobiście doprowadza go do jakiegoś naukowego odkrycia czy ustalenia. Nie ma też większej pokusy niż ta, by ulec temu czarowi. Ale wzorem musi być raczej przebiegły Odyseusz, który przez rozum i silną wolę potrafił nie posłuchać głosu zwodzących syren. Do jakiego masztu sceptycyzmu mamy się przywiązać, by trzeźwo i bezpiecznie płynąć dalej ku prawdziwym odkryciom? Czy przy budowaniu hipotez naukowych umiemy się wyzyść pokusy wiązania ze sobą faktów, które połączyły się ze sobą w naszym prywatnym życiu, w którym przecież zanurzona jest badanie? Czy można ustrzec się przed istnym „przymusem kojarzenia”, który zaślepi nas na fakt, że pewne związki, dla nas oczywiste, jak np. relacje, nie istnieją „naprawdę”, a leżą tylko – jak Ruskinowskie piękno – „w oku obserwatora”.

Ileż to klasyfikacji, periodyzacji, rekonstrukcji, modeli przedstawia fakty w jakimś powiązaniu i pogrupowaniu nie dlatego, że w ten właśnie sposób one się organicznie ze sobą łączą, ale dlatego, bo dzięki temu autorowi wszystko zgadza się w jego naukowej buchalterii. Żadne znalezisko, żadna rzecz ani informacja nie może pozostać bezużyteczna, zbyteczna, niezinterpretowana. Wszystko ma swoje miejsce, wszystko pasuje do siebie w uczonej konstrukcji, bo tak to się kojarzy badaczowi, dając mu błogie poczucie ładu i harmonii.

I oto wystarczy jeden kamyk by zburzyć tę psychologiczną konstrukcję, tę syntezę prawdy i zmyślenia. Dostaje się wtedy nauczkę, by nigdy nie dopinać gorsetu teorii (konstruktowi, modelowi) na ostatni guzik.

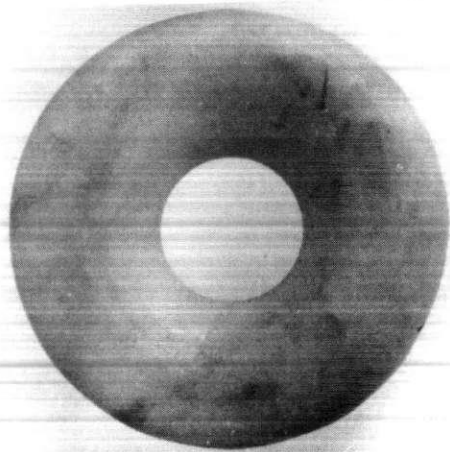
Wystarczy jedna lektura, byle właściwa. Na przykład „Zły” Tyrmanda. Tyle tu szczegółów z Warszawy lat 50-tych, istna etnografia miasta. Jest nawet informacja o grach, o tym że przed wojną grywano w pliszki, w cymbergaja i inne, ale nie znano jeszcze „zośki” – ta przyszła zaraz po wyzwoleniu.

Kto ją zatem przyniósł? To nie zabajkalscy kozacy z czasów powstania? Czyżbym musiał zarzucić obraz żołdatów grających „w zosku” na oczach polskiej dzieciarni? Ale to ponad moje siły – zbyt wielka jest moc obu krążków. Nadal będę więc trwał w przekonaniu, że byli to żołnierze ze wschodu, tyle że oczywiście nie z carskiej, a z czerwonej armii. A jeśli, co niewykluczone, napotykam na sygnały, mówiące że „w zośkę” grywano jeszcze przed wojną, (choć niekoniecznie w Warszawie), chętnie wrócę do hipotezy wcześniejszej. Tak czy owak, niezależnie od datowania, nic nie zachwieje mojego przekonania, że gra przyszła po wojskowym szlaku. Dwa przedmioty są tego aż zbyt silnym dowodem.

### Krążek trzeci – lekcja trzecia

On także ma otwór, ale to już nie miedziak – to nieco większe, zielonkawe żyłkowane kółko z jaspisu, spłaszczone, cienkie, o zaokrąglonych krawędziach otworu wewnętrznego i obwodu. I nic poza tym.

Można tylko zgadywać, że wyrób jest chiński, w każdym razie Mongołowie takim rzemiosłem się nie parali. Poza tym kompletne zero informacji (co najwyżej, jeśli cena miałaby stanowić jakąś namiastkę informacji o rzeczy, to kosztowała dość drogo). Idealna prostota, brak jakichkolwiek cech stylistycznych, wzorów czy nacięć, nawet uchwytu. Nie ma żadnego



punktu wyjścia do przypuszczeń na temat pochodzenia, wieku, przeznaczenia czy choćby aktualnego sposobu użytkowania. Mała enigma, tajemniczy monolit, nieme dziecko nieznanych rodziców, zagadka Kaspara Hausera.

Milczenie tego przedmiotu prowokuje. W realiach kulturowych Azji Centralnej można zakładać praktycznie tylko jedną jego funkcję – ozdoby. Może była to przywieszka do woreczka na tabakę, obciążnik ułatwiający założenie go za pas? Ale mongolskie przywieszki, podobnie jak ich bardziej znane japońskie odpowiedniki, „netsuke”, były z reguły figuralne. Może zatem jakiś rodzaj wieszadełka w odświętnym kobiecym stroju? W takim razie prosiłoby się o ornament, o jakiś kwiatek, ozdobny detal.

Czy można sensownie wnioskować z milczenia? Czy dla znaczenia rzeczy wynika coś z faktu, że nie ma ona żadnego widzialnego znaku, mówiącego o jej tożsamości? A może z tego ubóstwa trzeba uczynić cnotę i przypomnieć sobie, że skrajna ascetyczność przedmiotu może służyć upostaciowaniu wartości abstrakcyjnych: ideału, absolutu, transcendencji. Nieprzypadkowo takie same, intrygujące swą prostotą kamienne i brązowe kręgi i krążki z otworami były znane w Chinach już w okresie archaicznym. I może to samo coś, co stanowiło o ich mocy wtedy, nadaje im wartość teraz, gdy przeszmuglowane z dawnych cesarskich kolekcji trafiają na rynek antykwareczny. Jeśli zachowa się do tego oryginalny, stary futerał z imperialnymi pieczęciami, to będzie on czytelną gwarancją, że ten właśnie przedmiot swoją mocą intrygował już władców dawnych dynastii. Trafi on na aukcję zorganizowaną przez któryś z wielkich domów aukcyjnych, w Londynie lub Hongkongu, specjalnie dla tego jednego obiektu, pod hasłem „bardzo ważny dysk rytualny bi”

Kształty i rzeczy najprostsze najlepiej materializują odwieczność – czy będą to niewielkie kółka z muszli, o przeszłości których tyle wiedzieli Trobriandczycy, czy monstrualne kręgi z innych wysp mórz południowych, istne kamienie młyńskie, które przyciągają do siebie magnetycznie nawet w antykwaracie, w stolicy któregoś z dawnych kolonialnych mocarstw.

Albowiem moc mają w sobie nie tylko przedmioty wystawne, bogate, naładowane pięknem. Tak, one też dają poczucie obcowania z transcendencją. Kiedy zwiedzając katedralny skarbiec albo przycerkiewne muzeum patrzę na wyjątkowej roboty złoty pektorał czy prawosławny krzyż z rekojeścią, myślę o tym, jak konający kardynał lub archimandryta wczepiał się weń kurczowo na łożu śmierci, by palcami czuć, że Zbawiciel go nie opuszcza. Gdy biorę do ręki parę imponująco masywnych, wymyślnych noży rytualnych, wiem jak czuł się lamajski ofiarnik w czasie ceremonii wyganiania zła, składając ofiarę z człowieka-kukły „dzolig”. Parafernalia są potężną gwarancją mocy każdego aktu religijnego.

Oczywiście moc ma w sobie tylko przedmiot prawdziwy, a nie byle jaki zakup – owoc krótkotrwałej przygody w super-

markecie, zrodzony z przelotnego związku klienta z wielką nierządnicą rynku. O przedmiocie-gadziecie wiadomo, że przeleci przez nasz dom – w stadzie innych – pokonując w błyskawicznym tempie drogę między wózkiem zakupowym a śmietnikiem. Przedmiot prawdziwy jest nieśmiertelny. O wrzuconych w potłacz do ogniska miedzianych płytach będzie się jeszcze długo pamiętać. Zawsze byli i będą ikonoklasty i hunwejbini, Savonarolowie, Attylowie i rzeźnicy mód, które uczą nas nie znosić *designu* z minionego sezonu. Ale to rzecz jest w końcu naszą jedyną wiecznością. Znany aforyzm, mówiący że człowiek jest epizodem w dziejach przedmiotu wywoła u kolekcjonera mniej odruchowy sprzeciw niż u innych.

Rzeczy zmuszają nas do myślenia o wieczności, i to w obu kierunkach – zarówno w przyszłość, w długo-wieczność, jak i w przeszłość, w od-wieczność. Jak srebrne naczynie chrzcielne, upamiętniające siedem pokoleń rodu Castorów, ewokujące w małym Hansie to „na pół marzyielskie, na pół niepokojące uczucie czegoś płynącego i zarazem stojącego, jakiegoś zmiennego trwania, które miało w sobie rytm i powrotu, i zawrotnej jednostajności”.<sup>3</sup>

Żeby zakorzenić nas w przeszłości, przedmiot musi być sam w niej dobrze zakotwiczony. Dlatego tak ważny jest znak wytwórcy – sygnatura autora, stempel warsztatu, cienko grawerowane inicjały zegarmistrzów kolejno reperujących stary mechanizm czy grubo, stolarskim ołówkiem napisane numery na dnie szuflad komody, by łatwiej pasowały. Zakorzenie nie w kulturowym kontekście stanowi o tożsamości. Stary turkmeński dywan ma cechy stylowe, umożliwiające jego identyfikację nie tylko z plemienną grupą Erzari, ale wręcz z okolicą miasteczka Dali nad Amu-darią, gdzie musiał powstać; współczesny dywan afgański nie daje patrzącemu tej możliwości tropienia rodowodu – jest zbieraniną wzorów, z których każdy należał kiedyś do innej grupy rodowej, określał konkretną, odmienną proveniencję.

Dzięki rzeczom wybiegamy też w przyszłość. To one zmuszają zbieracza do pomyślenia o potomkach, o spadkobiercach, o przyszłych oglądających. Zakorzeniając nas w przeszłości i wyrastając w przyszłość przedłużają naszą egzystencję. Jednocześnie, w innym wymiarze, poszerzają ją, rozbudowując naszą osobowość i tożsamość kulturalną. Także ktoś, kto nie ma ochoty ograniczać się do tożsamościowego *emploi*, zdeterminowanego przez tradycję rodzinną i jej pamiątki, może zbudować inną tożsamość z obiektów gromadzonych osobiście.<sup>4</sup> Może wyrwać się z ograniczeń własnej kultury i własnego horyzontu zachowań. Zbierając *exotica* dotykam rzeczywistości najodleglejszej, obcując z chińszczyzną cofam się w przeszłość najdalej jak mogę. Pijąc herbatę przy niskim stole, który był niegdyś „łożem opiumowym” w chińskiej palarni opium nie staję się starym Chińczykiem, ale łatwiej mi wejść wyobraźnią w tamten świat.

Na przekór ostawionej alternatywie „być albo mieć” upieram się, że „mieć” (zbiór rzeczy) niesie tę samą wartość duchową, co „być” (zbieraczem rzeczy).

#### PRZYPISY

<sup>1</sup> Przypomina o tym etnologia skandynawska – patrz np. L. Otto, L. Pedersen, *Collecting oneself. Life stories and objects of memory*, „Ethnologia Scandinavica”, vol. 28, 1998, s. 77–92

<sup>2</sup> G. N. Potamin, *Očerki severo-zapadnoj Mongolii*, S. Peterburg 1881, s. 120

<sup>3</sup> T. Mann, *Czarodziejska góra*, Warszawa 1956, s. 48

<sup>4</sup> Przegląd takich współczesnych postaw wobec pamiątek daje B. Rogan, *Things with a history – and other possessions*, „Ethnologia Scandinavica”, vol. 28, 1998, s. 93–107. Tamże podstawowa literatura do tak rozumianej przez współczesną antropologię anglosaską „material culture”.